

Monika Tadra

TO NIE NASZA WINA



BookEdit

Monika Tadra

TO NIE
NASZA WINA

Copyright © Monika Tadra, 2023

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracja na okładce: © LUMEZIA / iStock / Getty Images Plus

Redakcja: Magdalena Cęglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-67539-59-3

Wydawca

BookEdit

512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEdit/

instagram.com/BookEdit/

SPIS TREŚCI

Wstęp	9
Zawsze chciałam być szczęśliwa.	15
Kto cię pokocha, jeśli nie kocha cię własna matka?	31
Miała takie kauczukowe ciapy.	49
Patrz, jak ja cię dobrze wychowałam	65
Cokolwiek by się działo, poradzę sobie.	85
Byłam w klatce od zawsze	101
Pióro – bordowe ze złotą stalówką	121
Nie chciałam iść na dno	135
Państwo w państwie	149
Chciałam tylko, żeby było dobrze.	165
Zrobię wszystko, żeby być z córkami	181
Podziękowania	201

Imiona bohaterów oraz niektóre nazwy miejscowości i zawodów
zostały zmienione.

Historie do napisania tej książki gromadziłam z myślą o tych, którzy doświadczyli bólu trudnego dzieciństwa, braku miłości, samotności oraz stygmatyzacji wynikającej z pobytu w placówkach opiekuńczo-wychowawczych. Z myślą o wszystkich, którzy nie wiedzą, jaki bagaż doświadczeń niosą spotykani ludzie, jednak z łatwością ich oceniają i przyklejają łatkę tych gorszych. Z myślą o dzieciach, które codziennie budzą się i zasypiają w domu dziecka ze strachem, że nie czeka ich już nic dobrego. Jednak – jak udowadniają moi rozmówcy – po bolesnym początku może być lepiej, bo istnieje również inna rzeczywistość, niż ta, w której dane im było się urodzić i dorastać. Mimo trudnego startu zawsze jest szansa na zbudowanie czegoś ważnego i wartościowego.

WSTĘP

To historie opisane w dialogach. Każda inna, prawdziwa, *nomen omen*, do bólu. Każda opowiada losy człowieka, który jako dziecko „przetrwał”. Przetrwał, bo tak naprawdę dzieciństwa nie można postrzegać jako pasma szczęśliwości. Oczywiście, nigdy potem nie potrafimy się tak cieszyć, ale też nigdy tak bardzo, jak w tym okresie życia się nie boimy (poza realnym zagrożeniem życia w dorosłości). Małe dziecko jest zależne – nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim emocjonalnie. Kiedy ma kilka tygodni, czy nawet miesięcy, matka lub opiekun to cały jego świat, od którego zależy jego egzystencja. Nie ma myślenia, rozważania, krytycznego nastawienia, są przeżycia, emocje, uczucia z ciała – przerażenie, przyjemność. Dziecko w miarę rozwoju pokonuje kolejne etapy, uczy się bezpieczeństwa, nawet kiedy rodzic nie jest stale z nim, uczy się radzenia sobie z brakiem, frustracją, emocjami. A wszystko to dzieje się w relacji, głównie z matką. Co więc dzieje się, kiedy nie ma relacji? Takiej, która zapewni minimalne bezpieczeństwo konieczne do prawidłowego przechodzenia przez kolejne etapy rozwojowe. Otóż jest mu trudno rozwinąć stabilne, ukonstytuowane wewnętrznie poczucie bezpieczeństwa, poczucie własnej wartości, jest mu ciężko wspierać samego siebie w trudnych chwilach w dorosłym życiu.

Zastępczy opiekunowie, domy dziecka, rodziny (tzw. zastępcze) potrafią czasem zapełnić część tego „braku”, ale czasem zupełnie tego nie ma. Zakładając więc, że samo dzieciństwo jest naszym życiowym „wyzwaniem”, to dzieciństwo bez bazowej, bezpiecznej relacji jest traumą. Tak trzeba to nazwać, choć zdają sobie sprawę z tego, że obecnie to słowo bywa nadużywane.

Utrata rodziców, utrata nadziei w domu dziecka, gdzie wiele osób, które opowiadają swoje historie, spotkało się z przemocą fizyczną, emocjonalną, psychiczną, to sytuacje graniczące z beznadziejnością. A jednak bywało – i jest to w opowieściach bohaterów książki bardzo poruszające – że pojawiają się dorośli, którzy mimo braku spokrewnienia lub jakichkolwiek szans na formalną adopcję stają się „znaczącymi innymi”, zmieniającymi bieg życia młodego człowieka. „Pojawił się w moim życiu w idealnym momencie. Trochę mnie ogarnął, postawił do pionu, bo byłem mocno zbuntowany. Dzięki niemu i dzięki odrobinie swojej siły udało mi się. Nie wszyscy moi kumple dobrze skończyli. Mieli wyroki, problemy po wyjściu z domu dziecka albo nawet nie dotrwali do tego wyjścia, bo trafili do poprawczaka. Nie byłem jedyny, ale na pewno jednym z nielicznych, którzy po wyjściu z placówki poukładali sobie życie, mają rodzinę, pracę”. Rola innych niż rodzice, ważnych dla dziecka i przyjaznych osób – dziadków, cioć albo tych niespokrewnionych (a często właśnie tych) – bywa niezwykła.

W opowieściach bohaterów książki widać, jak czasem właśnie w wieku dorastania, kiedy już bardziej świadomie starają się budować poczucie własnej wartości i siłę „przebiccia się” przez trudy szkoły, pierwszych kroków w dorosłość, jedna osoba ratuje ich. Dzięki niej dostają szansę na dobre dorosłe życie. „On mnie ukształtował” – opowiada mężczyzna zmagający się z traumą wyniesioną z domu, a wywołaną przez pijących

rodziców, którym w końcu został odebrany. „W każdy weekend zabierał mnie do siebie, po szkole chodziłem do jego sklepu. Najpierw był dla mnie kumplem, a później był jak ojciec, bo już stał się dla mnie autorytetem i słuchałem go. Nie mógł mnie adoptować, bo zasady były takie, że tylko małżeństwa mogły to robić”.

Dzieci, po utracie rodziców i dobrych wspomnień, często też po zagnaniu opresyjności ze strony placówek mających zapewnić im opiekę, tworzą przeróżne mechanizmy obronne, które pozwalają im się uporać z koszmarem potwornego lęku – od „nieczucia” do zachowań agresywnych lub autoagresywnych, od kierowanego strachem nadmiernego „wyczulenia” na każdy gest i grymas u osób ze swojego otoczenia, po bycie „ratownikiem” dla wszystkich, którzy znajdują się w pobliżu. Potrafią jednak też wykształcić w sobie mechanizmy, które umożliwią im przetrwanie, a potem stają się w dorosłym życiu ich pomostem do budowania relacji, związków, karier zawodowych, pozycji społecznych. Jednak wszystkie te osoby – pozbawione stabilnej i bezpiecznej relacji z rodzicem – to „survivors”, czyli „ci, którzy przetrwali”. Wielu z nich wypiera albo wręcz zapomina swoją przeszłość z okresu dzieciństwa i dorastania, niektórzy cierpią na przeróżne zaburzenia – depresje, zaburzenia odżywiania, stany lękowe itd. pojawiające się czasem nagle, na jakimś etapie dorosłego życia, a będące właśnie „echem” tamtego czasu, lęku, dziecięcego przerażenia. „Mam zakodowany strach”, mówi jedna z bohaterek opowieści. „Zawsze wypierałem to, co się działo w domu. Nie ma, o czym rozmyślać, to w żaden sposób nie napawa optymizmem do życia. Chciałem zapomnieć o tych wydarzeniach”, wyjaśnia inny bohater. „Odcięłam się od znaczenia słowa „matka” i od całej otoczki z nim związanej”, przyznaje kobieta, która, jak każdy, chciała mieć w matce oparcie i wzór, a zaznała jedynie okrucieństwa i odrzucenia.

W języku angielskim „survivors” oznacza także „odporny psychicznie”. Nie jest tak, że to, co nas nie zabija, to nas wzmacnia. To nas kosztuje i osłabia. Ale ci, których dzieciństwo przebiegało w tak trudnych warunkach, czasem wytwarzają mechanizmy pozwalające im lepiej rozumieć innych, z determinacją walczyć o siebie i swoje relacje. Mimo że nikt nie walczył o nich, mogą uporządkować swoje emocje – także dzięki terapii i być dla innych tymi, którzy pokazują, jak najtrudniejsze doznania można przekształcić w to, co konstruktywne, na przekór przeszłości.

Ktoś mógłby powiedzieć: „Ale dlaczego mam czytać historie osób, które zostały pozbawione opieki rodziców, skoro miałem/miałam dom, rodziców, opiekę?”. I tu niespodzianka. Książka Moniki Tadry i zebrane przez nią opowieści „tych, którzy przetrwali” mogą dać nam wszystkim bardzo dużo. To uniwersalne opowieści o radzeniu sobie z kryzysem, o winie, o wstydzie, o wyjściu z sytuacji stygmatyzacji, o stawaniu wobec braku wsparcia grupy, o ranach zadanych przez odrzucenie. Wiele osób styka się z tym na jakimś etapie swojego życia, a tu mamy historie prawdziwe – osób, które zetknęły się z tym w ekstremalnej formie. Opowiadają otwarcie, mają świadomość tego, z czym sobie poradziły, a co zostanie w nich na zawsze. „Mam zakodowany strach”, mówi 50-letnia dziś kobieta, której po traumie wyniesionej z placówki opiekuńczej (dom dziecka) udało się założyć rodzinę, zdobyć pracę, wychować córkę. Wie, co się udało, a co po prostu musi zaakceptować, bo jest to odpryskiem przeszłości, na który musi brać poprawkę, funkcjonując w codziennym życiu.

Może właśnie to jest największą wartością tej książki, że siadamy jako czytelnicy w gronie autentycznych ludzi. Ludzi, którzy dotknęli „najgorszego” – odrzucenia przez rodziców, a często też bezosobowego

okrucieństwa placówek, jakimi były domy dziecka, do których trafili. Z autentycznych opowieści zawsze można się wiele nauczyć. Mówią bowiem o życiu, a w nim powtarza się wiele elementów – radzenie sobie z trudnościami, z utratą, samotnością, odbudowanie nadziei, konfrontacja z tym, co można zmienić, pogodzenie się z tym, co pozostanie echem tego, co przeżyliśmy, i mądrość odróżnienia jednego od drugiego. Niech więc te historie będą przyczynkiem do refleksji – o nas samych, o tym, jak pokonujemy nasze własne trudności, budujemy więzi, ale też o tym, jak funkcjonujemy jako opiekunowie młodych ludzi, o tym, co możemy zrobić (czasem całkiem niewielkiego), by dać komuś pozbawionemu rodzicielskiego wsparcia nadzieję na dobrą przyszłość.

dr Joanna Heidtman

ZAWSZE CHCIAŁAM BYĆ SZCZĘŚLIWA

Dlaczego trafiłaś do domu dziecka?

Rodzice nadużywali alkoholu, często zostawiali nas samych, zaniebdywali. Ojciec się wyprowadził. Kiedy matka poszła do szpitala i zostaliśmy sami w domu, sąsiedzi zawieźli nas do pogotowia opiekuńczego i stamtąd trafiliśmy do domu dziecka.

Rozumiem, że masz rodzeństwo.

Tak, siostrę i brata.

Jak wspominasz pierwsze dni w domu dziecka?

Pamiętam ciekawość. W ogóle nie tęskniłam za rodzicami. Miałam sześć lat i wydawało mi się, że po prostu tak musi być. Dziecko jakoś łatwiej akceptuje takie sytuacje, zwłaszcza jeśli w domu rodzinnym doświadczyło trudnych rzeczy. Często nie mieliśmy co jeść, byliśmy bici kablami, wieszakami i innymi rzeczami. W placówce nic złego się nie działo, więc się nie bałam. Nie odczuwałam tęsknoty za domem. Dom dziecka nie był traumą, był nią dom rodzinny.

Dzisiaj, gdy mój starszy syn jest chory, to brakuje mi rodziców bardziej niż wtedy. Mój tata już nie żyje, ale matka tak i brakuje mi jej wsparcia. Na tamtym etapie tego nie czułam.

Utrzymujesz kontakty z mamą?

Bardzo sporadyczne, od czasu do czasu. Nie mogę powiedzieć, żeby była między nami jakaś więź albo bliska relacja. Nawet sobie tego nie wyobrażam. Matka była na moim ślubie, ale na chrzciny dzieci już jej nie zapraszałam.

W trakcie pobytu w placówce miałaś kontakt z rodzicami?

Kontaktów raczej nie było, matka nas nie odwiedzała. Może była na komunii mojego brata, może przyjechała raz czy dwa przez te wszystkie lata i to tyle. Ojciec nie odwiedzał nas w ogóle. Jeździliśmy na ferie i wakacje do babci, mieszkał z nią mój tata, więc tam mieliśmy z nim kontakt. Raz zabrała nas matka, ale ona już miała nowych partnerów, kolejne dzieci... Przez jakiś czas mieszkała w domu samotnej matki.

Czyli masz też przyrodnie rodzeństwo?

Z innego związku matka ma jeszcze dwoje dzieci i z kolejnego troje – czyli razem ośmioro. Wszystkie poszły do domu dziecka poza jedną córką, która mieszka ze swoim ojcem. Nie przestała pić, nadal zaniedbywała dzieci, więc one trafiały do placówek. Dzieci z ostatniego związku zabrali jej bardzo szybko. Najstarsza dziewczynka, Alicja, mieszkała w wiosce dziecięcej. Matka wiedziała, gdzie ona jest, ale na pewno nigdy jej nie odwiedzała. Znalazłam ją po latach. Zaczęła do mnie przyjeżdżać w wolne dni, była również w wakacje.

Nasza matka, która mieszka bardzo blisko i wiedziała, że Alicja jest u mnie, nie przyszła się z nią nawet przywitać. Po dwunastu latach nieobecności w jej życiu nie chciała się z nią widzieć. Dla mnie to jest lekceważenie swoich dzieci. Jej było to na rękę, że ich nie ma, nie musi się nimi opiekować, nie jest za nikogo odpowiedzialna i inni wszystko robią za nią. Dzieci są jej w ogóle niepotrzebne, chyba że po to, by się przed kimś popisać, pochwalić nimi.

Wiesz, co się dzieje z jej pozostałymi dziećmi?

Z moim rodzeństwem oczywiście utrzymuję kontakt. Podobnie jest z Alicją. Dwoje dzieci jest całkowicie poza zasięgiem, ponieważ zostały adoptowane. Z pozostałymi nie mam żadnych relacji, jedynie kontakt z ich strony typu: „Cześć, może pożyczysz kasę?” i tylko tyle.

Wróćmy do domu dziecka.

Nie byłam najgrzeczniejsza. Chyba najbardziej potrzebowałam miłości, a najmniej jej dostałam, dzisiaj to wiem. Nie chodziłam do szkoły, wdawałam się w bójki, w różne, zupełnie niepotrzebne sytuacje. Byłam trochę niepokorna, pyskata i nie raz, nie dwa zdarzało mi się ukraść coś w bidulu. Dawałam swoim zachowaniem w kość wychowawcom. Nie bardzo sobie ze mną radzili. Oni bardziej lub mniej lubili różnych wychowanków, ale każdy miał swoją rodzinę, dzieci, szedł do swojego domu i tam okazywał miłość oraz troskę, a w bidulu po prostu pracował. Jednak było dobrze, naprawdę w porządku.

A uciekałaś?

Nie, absolutnie. Raz tylko wyrwałam się na dyskotekę w nocy. Nigdy nie uciekłam.

Poradzono sobie z problemami, które stwarzałaś?

W domu dziecka byli wychowawcy bez doświadczenia z takimi dziećmi jak ja. Trudno im było mi pomóc. Dostałam wsparcie pani psycholog, ale to było widocznie dla mnie za mało. Dyrektorka chciała się mnie pozbyć, bo sprawiałam problemy. To było bolesne, tym bardziej że była hipokrytką, która okradała wychowanków. Wygraliśmy kiedyś konkurs „I Ty możesz zostać świętym Mikołajem” i wyjechaliśmy do Poznania na koncert, podczas którego była zbiórka pieniędzy dla naszego domu dziecka. Tych pieniędzy było bardzo dużo, a ona je wszystkie zabrała dla siebie. Podobnie było z darami, które dostawaliśmy. Pamiętam, że otrzymaliśmy kiedyś markowe kosmetyki, ale żadne dziecko ich nie dostało.

Miałam kilka spraw w sądzie o odesłanie mnie do ośrodka wychowawczego. Dopóki pani Ania pracowała w domu dziecka, to zawsze mnie przed tym obroniła. Jednak kiedy odeszła z pracy, to niestety po pierwszej sprawie w sądzie i ja musiałam odejść. Gdy miałam piętnaście lat, trafiłam do ośrodka wychowawczego. Wiem, że byłam trudnym dzieckiem – nie złym, ale trudnym. Moja przeszłość była trudna, moje zachowanie było trudne i w domu dziecka nie potrafili sobie z tym poradzić, ale ten ośrodek to nie było miejsce dla mnie.

Jak tam było?

Tam panowała patologiczna atmosfera, bardzo zła. Nie mogłam się w ogóle zaaklimatyzować. Przemoc, wyzwiska, zastraszanie... Zarówno ze strony innych dziewczyn, jak i wychowawców. Większość opiekunów stawiała po stronie tych dziewczyn, które były silniejsze, była między nimi sztama, co jeszcze bardziej nakręcało spiralę przemocy. Nie radziłam sobie z tym i nie byłam w stanie tam

normalnie funkcjonować. Zachorowałam na depresję i chodziłam na terapię. Pchali we mnie tabletki, które nie pomagały, tylko zagłuszały ból i mnie usypiały. Byłam zbyt wrażliwa na takie miejsce. Odesłali mnie do domu dziecka.

Masz żal, że trafiłaś do tego ośrodka?

Mam ogromny żal za to, że tam trafiłam. Mam żal, bo nie powinnam się tam znaleźć. Wiem, że było ze mną ciężko, że może ktoś sobie ze mną nie radził, ale to absolutnie nie było miejsce dla mnie, w żadnym wypadku. Zresztą to nie było miejsce dla nikogo, dla żadnej z dziewcząt. Tam nie było żadnej resocjalizacji ani próby pomocy. Trafiały tam młode, często pokrzywdzone dziewczyny, a nie wykonywano z nimi takiej pracy, jaka powinna być wykonana. To była pełna przemocy przechowalnia.

Długo byłaś w tej przechowalni?

Może półtora roku. Odesłali mnie na warunkowe zwolnienie do domu dziecka, ale do innego niż ten pierwszy.

Zostałaś tam już do końca?

Nie, bo znowu nie chodziłam do szkoły.

Jaki problem miałaś ze szkołą?

Na początku, w szkole podstawowej, nie byłam szczególnie akceptowana, bo chodziłam do klasy z lokalną śmietanką. W gimnazjum było już naprawdę super, ale nudziłam się w szkole. Wolałam iść do parku, zapalić sobie fajkę. Było ciekawiej. Zawsze znalazł się ktoś, kto wagarował ze mną. Nie chciało mi się uczyć. Musiałam chyba

dojść do takiego momentu, kiedy sobie powiedziałam: „Kobieto, ogarnij się”. Działałam wtedy, kiedy mi się chciało, a nie, kiedy mi kazano. Czułam, że narzucają mi skończenie szkoły w określonym czasie. Wiem, że to miało być dla mojego dobra, nikt nie chciał dla mnie źle. Potrzebowałam jednak zrozumienia, akceptacji, że jestem inna, niż oczekiwano. Jednocześnie mam świadomość, że brakowało mi pokory, żeby przyznać rację, posłuchać, iść grzecznie do szkoły. Takie posłuszeństwo było zupełnie nie dla mnie. Nikt mnie nie rozumiał. Gdyby ktoś zrozumiał mnie i moją sytuację, zobaczył, co mam w środku i co chcę powiedzieć tym swoim krzykiem i paskudnym zachowaniem, to bym w tym strasznym ośrodku nie wyładowała. Tam naprawdę było okropnie. Nie mam traumy, nie przeżywam tego, ale to było bardzo złe miejsce.

Za drugim razem odesłano cię do tego samego ośrodka?

Na szczęście nie. Wysłano mnie do Warszawy, do innego miejsca. I to już był koniec... Albo dopiero początek.

Tam było inaczej?

Tam odbywała się prawdziwa resocjalizacja. Były wartościowe spotkania, kursy radzenia sobie z agresją, rozmowy. Miałyśmy nawet kółko teatralne. To było dobre miejsce dla mnie, tam wyrosłałam i zmądrzałam. Ono faktycznie w jakiś sposób ukształtowało mnie jako człowieka, którym jestem teraz. Było nas tam sporo – może sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt dziewcząt, ale pracowano z nami w małych grupach. Każda grupa miała swoich stałych wychowawców. Oni się nie zmieniali, co dawało nam poczucie bezpieczeństwa – to jest nasza pani Basia, nasza pani Ania

i tak dalej. Dużo o nas wiedzieli i faktycznie z nami pracowali, co było skuteczne.

Skończyłaś szkołę?

Dopiero po wyjściu z ośrodka skończyłam gimnazjum, a potem poszłam do liceum dla dorosłych i też je ukończyłam. Niedługo później zaszłam w ciążę, więc już nie podchodziłam do matury, syn zaczął poważnie chorować i to odeszło trochę w niepamięć. Potem urodziłam kolejne dziecko.

Myślisz o zrobieniu matury?

Tak, chciałabym to zrobić – dla siebie, nie dla innych. Przez rodzinę mojego męża byłam nieakceptowana, bo jestem niewykształcona, bo jestem z patologii, ale nie chcę udowodniać komuś, że mogę to zrobić, że nie jestem głupia. Kiedyś, jak będę miała siły, cierpliwość i nie będę tak zmęczona, zrobię to. Nie mam parcia na to, żeby koniecznie skończyć studia, żeby udowodnić wszystkim dookoła, że mogę i nie jestem taka, jak o mnie mówią. Już się z tego wyleczyłam. Nie mam żadnych kompleksów z tego powodu, że nie skończyłam wyższej szkoły. Wiem, że jestem inteligentna i nie muszę pokazywać wszystkim dookoła, że jest inaczej, niż oni myślą. Już mi się nie chce.

Gdybyś postanowiła studiować, to jaki kierunek byś wybrała?

Teraz nie wiem. Kiedyś głupio mi się marzyło o byciu psychologiem. To oczywiście nie jest dla mnie, nie uniosłabym tego. To jest duża odpowiedzialność i zobowiązanie. Nawet jeżeli byłabym w stanie komuś pomóc, to chyba tylko chwilowo, później by mnie

to przytłoczyło. Z dziećmi też nie chciałabym pracować, ale chciałabym pomagać ludziom. Może mogłabym być pielęgniarką. Myślę, że praca w szpitalu, przy ludziach starszych, potrzebujących praktycznej, troskliwej pomocy, byłaby dla mnie odpowiednia.

Gdzie zamieszkałaś, gdy opuściłaś ośrodek w Warszawie?

Poszłam do tak zwanej rodziny zaprzyjaźnionej, która mieszkała pod Warszawą. Szybko jednak wróciłam do mojego rodzinnego miasta, bo chciałam być blisko mojego obecnego męża. I tutaj też pracowałam. To były jakieś pizzerie i sklepy spożywcze. Zawsze miałam swoje pieniądze, mój mąż nigdy mnie nie utrzymywał. Teraz otrzymuję zasiłek pielęgnacyjny na syna, który ma orzeczenie o niepełnosprawności. Ze względu na jego chorobę nie mogę pracować, ale kiedyś bym chciała.

Jak myślisz, z czego wynikały twoje kłopoty? Mówisz, że w domu dziecka było ci dobrze, ale jednak sprawiałaś problemy wychowawcze.

Byłam dzieckiem molestowanym i to na pewno stąd się wzięło. Od zawsze byłam nielubiana przez swoją matkę, wyzywana przez nią i bita. Ojciec mnie molestował.

To się działo, jeszcze gdy byłaś w domu, czyli przed szóstym rokiem życia?

Tak, ale potem też. Jeździłam do babci, a tam mieszkał mój ojciec, więc to wciąż się działo. Odkryła to moja wychowawczyni i wtedy otrzymałam pomoc psychologiczną. To wszystko było bardzo trudne, ale jakoś dałam radę.

Ojciec dostał wtedy zakaz kontaktów z Tobą?

Dostał zakaz kontaktów, odebrano mu prawa rodzicielskie i siedział w więzieniu.

Jak długo?

Pół roku. Ja mu to wszystko wybaczyłam. Jeszcze gdy żył, to z nim rozmawiałam. On żałował tego, co zrobił. Wiem, jak to wszystko brzmi, jednak miałam z nim lepszą relację niż z mamą. Wybaczyłam mu, ale wiadomo, że złe wspomnienia wracają i co sobie myślę o nim, to myślę. Moja postawa wobec niego jest kwestią mojego charakteru i wiary w Boga.

Wspomniałaś o depresji? Jak długo chorowałaś?

Chyba nigdy nie wyzdrowiałam, myślę, że nadal mam depresję. Obudziła się, gdy urodziłam młodszego syna, bo starszy był wtedy bardzo chory – leżał w szpitalu, miał operację za operacją. Choroba wróciła po porodzie i gdyby nie dzieci, to prawdopodobnie popełniłabym samobójstwo, bo już sobie nie radziłam. Starszy syn był w tragicznym stanie, nie mogłam znieść tego, że on tak cierpi. Wydaje mi się, że cały czas jestem w depresji. Żyję w zawieszaniu, w takiej depresyjnej atmosferze. Często nie mam na nic siły.

Nie masz potrzeby, żeby sobie pomóc?

Jeśli pójdę na terapię i zacznę wszystko rozdrapywać, to będzie mi bardzo ciężko, a tego nie chcę. Nie chcę, żeby to, co już wygasło, odżyło. Nie chcę wracać do tego, bo to nie ma sensu. Może poszłabym na terapię, żeby z kimś porozmawiać, ale byłam tu u trzech terapeutów i każdy powiedział, że nie ma wystarczającego doświadczenia,

żeby mi pomóc. Do większego miasta nie dam rady dojeżdżać, bo logistycznie jest to nie do wykonania. Jak poczuję, że jest bardzo źle, to wtedy zgłoszę się do kogoś po pomoc. Na razie po prostu czasem nie mam siły. Kiedy chcę się zamknąć w łazience i sobie popłakać, to tak robię. Pozwalam sobie na słabość. Już nie wmawiam sobie, że wszystko musi być czyste, posprzątane, na stole ma być trzydaniowy obiad i dzieci muszą być zawsze dopilnowane. Odpuszczam trochę.

Jak sobie poradziłaś po wszystkich trudnych przejściach?

To po prostu minęło, cały mój żal minął. Oczywiście nie jest tak, że o wszystkim zapomniałam i teraz jest tylko dobrze. Czasami pewne emocje wracają, na przykład, gdy słyszę, że ktoś pobił dziecko, znęcał się nad nim czy je maltretował. Wtedy wracają moje doświadczenia i to jest trudne. Nie chcę rozgrzebywać przeszłości, bo to wszystko już ostygło i niech będzie tak, jak jest. Chyba w ten sposób sobie poradziłam. Prowadzę po prostu nowe życie – mam rodzinę i tym powinnam się zająć. Skupiam się na tym, że trzeba funkcjonować, bo mam dzieci i muszę sobie radzić ze względu na nie.

To jest siła napędowa?

Tak, ale to jest też kwestia mojej wiary. Mam siedzieć, rozpamiętywać i uzalać się nad sobą, bo ktoś zrobił mi krzywdę? Pewnie nie mnie jednej.

Poradzenie sobie z tym, co cię spotkało, to duża umiejętność.

Zawsze chciałam być szczęśliwa. Chciałam mieć rodzinę i chciałam normalnie żyć. To był mój cel, że będę miała dzieci, męża, będę pracowała, będę normalnym człowiekiem i będę normalnie żyła.

Wiedziałam, że wcale nie muszę brać przykładu z tego, co widziałam w swoim domu. I chyba tyle. Byłam na terapii, gdy moje dziecko zachorowało. Terapeuta powiedział, że ludzie po takich przejściach jak ja najczęściej kończą w ryszotoku. Wiem, że wszystko skończyło się dobrze dzięki Bogu.

Od zawsze byłaś osobą wierzącą?

Wiedziałam, że jest Bóg, trzeba go słuchać, trzeba się dobrze zachowywać. Czasem zdarzało mi się – jeszcze w domu dziecka – chodzić do spowiedzi. Ale prawdziwa wiara przyszła, gdy syn zaczął chorować. Wtedy wiedziałam, gdzie iść i wiedziałam, że zostanę wysłuchana. Wówczas zaczęłam się modlić i chodzić do kościoła. Wiem, że Bóg był przy mnie przez cały czas, czuwał nade mną, bo przecież ma plan na życie każdego z nas. Takie trudne doświadczenia, jak moje, dają siłę, tylko też trzeba umieć z tego skorzystać.

Mogłaś się na kims wespierać?

Nie miałam po drodze żadnych autorytetów ani żadnej bliskiej, wspierającej mnie osoby. Byłam silna, dzielna i znosiłam różne przeciwności. Wiedziałam, że jeżeli sama sobie nie poradzę, jeśli sama o siebie nie zadbam, to nikt tego za mnie nie zrobi. Wiedziałam, że wszyscy mnie spiszą na straty, zwłaszcza tutaj, w tym mieście. Moja matka przez całe życie korzystała z pomocy społecznej i wszyscy ją tu znają, to małe miasto. Jest tu znaną alkoholiczką. Urodziła pod wpływem alkoholu dziecko, które było pijane. Bardzo długo miałam łatkę córki alkoholiczki, dla niektórych wciąż ją mam. Znajome i współpracownicy mojego męża ostrzegaly go, żeby się ze mną nie wiązał, bo go kantem puszcze, bo go zostawie, bo jestem taka sama,

jak moja matka. Jedna osoba z rodziny mojego męża wprost mi powiedziała, że nie rozumie, jak on mógł zostawić swoją poprzednią dziewczynę dla mnie.

Takie komentarze sprawiały ci ból?

Bardzo młodo wyszłam za mąż – miałam dwadzieścia lat. Byłam jeszcze nieopierzona, mało dojrzała i niepokorna. Reagowałam buntem i złością na to, że ludzie w ogóle mnie nie znają, nie zamienili ze mną słowa, a w taki sposób o mnie mówią. Teraz wiem, że nie mam na to wpływu, niech sobie mówią, co chcą.

Skąd w ludziach takie zachowania?

To jest chyba pycha. Oni mieli normalnych rodziców, normalny dom. Przecież to nie jest żadna ich zasługa, a jednak unoszą się ponad innych ludzi. Nie wiem, wydaje mi się, że to jest brak doświadczenia życiowego i trudnych przeżyć, które mogłyby nauczyć pokory i tego, żeby nie oceniać innych. Przecież nie zrobiłam im nic złego.

Myślisz, że nadal tak o tobie mówią?

Już chyba nie. Może swoją postawą wobec choroby mojego dziecka udowodniłam, że nie jestem taka, jak oni myślą. Chociaż jest jedna osoba, która odwraca głowę, kiedy mijamy się gdzieś na ulicy czy w sklepie. Widzi mnie i nie odpowiada „dzień dobry”, tylko odwraca głowę. Na początku specjalnie głośno się z nią witałam, ale jak ona mnie tak lekceważyła, to pomyślałam: „Kim ja jestem, żeby mnie tak traktować, nic jej nie zrobiłam, nawet ze mną nie rozmawiała. Jeśli chce, to niech odwraca głowę, nie będę za nią krzyżeć”. Nie

zamierzam się tym przejmować. Mam męża i dzieci. Zajmuję się swoją rodziną.

A masz poczucie straty, że w dzieciństwie jej nie miałaś i wychowywałaś się w placówkach?

Nie. Może dlatego, że pochodzę z domu, w którym był alkohol i przemoc. Jeśli ktoś miał dobry dom, był kochanym dzieckiem i na przykład stracił rodziców w wypadku, to miał za czym tęsknić. Ja nie miałam. Nas było w domu dziecka mało – ponad trzydziestu wychowanków, i raczej się dogadywaliśmy. Ten dom był inny, ale lepszy od tego, z którego mnie zabrano. Ktoś, kto znał smak prawdziwej rodziny i później zabrano go do innego świata – gorszego, to faktycznie może mieć poczucie straty. Ale my z domu rodzinnego wynieśliśmy poczucie krzywdy. Ja tylko to znałam, nie znałam życia pełnego miłości i ciepła. W bidulu to wszystko próbowano w jakiś sposób naprawiać.

Babcia chciała nas zabrać do siebie, ale jednak troje dzieci to ogromny obowiązek i dziadek się nie zgodził. I dzięki Bogu, bo gdybym miała mieszkać cały czas z ojcem, który mnie tak krzywdził, to jak ja bym skończyła. Widywałam go tylko sporadycznie, więc sporadycznie mnie krzywdził.

Nienawidziłaś go?

Nie, nie mam takich uczuć w sobie. Do żadnego człowieka. Może trochę do mojej matki. Czasem przychodzi takie uczucie nienawiści do niej, choć nie powinno tak być. Kiedy wróciłam tutaj i nie miałam, gdzie się podziać, to mieszkałam z nią. To jest człowiek psychicznie chory, nieobliczalny, zdolny do różnych rzeczy. Nie raz

mnie pobiła, mimo że już byłam dorosłą osobą. Czasem jej nienawidzę, ale wiem, że jest nieszczęśliwa, też wychowała się w bidulu. Jej matka była despotką, a ojciec się zabił, więc to mogło być dla niej traumatyczne przeżycie, zwłaszcza że on był bardzo dobrym człowiekiem. Nie wiem, może nie umiała żyć inaczej, nie umiała nas kochać. Nie będę jej oceniać. Mnie też nie było łatwo, ale ja dałabym się pokroić za swoje dzieci.

Podobno człowiek czerpie wzorce ze swojego domu. Jednak jesteś zupełnie inną matką niż twoja.

To chyba wynika z mojej wysokiej wrażliwości, z którą też często nie jest mi łatwo. Mocno kieruję się emocjami. Myślę, że matki tak mają, że po prostu kochają swoje dzieci. Nie wszystkie, ale większość z nas tak ma i to nie jest nic niezwykłego. Najpierw myśli się o dzieciach, potem o sobie. Dziecko trzeba kochać bez względu na to, jakie ono jest. Trzeba mu okazywać miłość, zrozumienie i akceptację. Staram się dużo przytulać i całować moje dzieci. Na pewno jestem czasem nadopiekuńcza. Daję im też wolność, oczywiście w granicach rozsądku, ale wiem z własnego doświadczenia, że zmuszanie przynosi często odwrotny skutek. Nie jesteśmy zaprogramowanymi robotami, tylko ludźmi i jesteśmy indywidualistami, nie można nas wpychać w określony schemat i kazać tam siedzieć. Mam bardzo niskie poczucie wartości, ale już akceptuję ten stan. Wyniosłam to z dzieciństwa, bo byłam ciągle krytykowana i poniżana. Nie chcę, żeby moje dzieci myślały o sobie tak, jak ja czasem myślę. Oczywiście popełniam błędy wychowawcze. Wiadomo, że nie ma ludzi doskonałych. Ja też nie jestem.

Co byś powiedziała ludziom, którzy nie doświadczyli pobytu w placówkach opiekuńczo-wychowawczych?

Powiedziałabym, żeby nam nie przyklejali łatek. Wcale nie jesteśmy gorsi. Nie mówię oczywiście do wszystkich, bo jest dużo empatycznych osób, które rozumieją naszą sytuację, ale na przykład zdarzają się panie, które odwracają głowę, gdy mówi się im „dzień dobry”. Trafiają się ludzie bardzo do nas uprzedzeni. Czasem, gdy dzieje się coś złego, to podejrzenie pada na osobę, która jest z domu dziecka, bo pochodzi z patologii, więc zna takie zachowania. Nikt nie myśli, że często wychowali nas specjaliści, osoby wykształcone i z doświadczeniem. Nie w każdym rodzinnym domu jest tak dobrze, jak my mieliśmy. W rodzinnych domach rodzice piją, krzyczą, biją, ale to my – z domów dziecka – jesteśmy szykanowani. Staram się tak żyć, żeby nikt nie miał do mnie żadnych zarzutów. Jak już ma się przyklejoną łatkę w swoim środowisku, to trzeba się starać bardziej.

Twoje rodzeństwo też wróciło do waszego rodzinnego miasta?

Nie, rozjechali się po świecie.

Ty nie miałaś nigdy potrzeby wyjechania?

Miałam i mam. Ale mój mąż ma dobrą pracę. Jest też zaangażowany w życie miejscowości, w której żyjemy. Nie mam szans na wyjazd.

A gdzie byś wyjechała?

Na wieś, żeby spokojnie żyć. Zasadzić ogród, hodować kury. Takiego spokojnego życia mi się chce. I zdrowych dzieci. Nie mam żadnych większych wymagań.

KTO CIĘ POKOCHA, JEŚLI NIE KOCHA CIĘ WŁASNA MATKA?

Trochę się denerwuję. Przyjmuję, że ta rozmowa się wydarza, ale nie wiem, czy jestem gotowa na to, że mogą paść intymne pytania.

Zacznijmy więc może od liczb, one są mniej intymne. Ile miałaś lat, gdy trafiłaś do domu dziecka?

Dwanaście, ale pamiętam, że było to tuż przed trzynastymi urodzinnymi.

Jesteś jedynaczką?

Nie.

Byłaś w domu dziecka ze swoim rodzeństwem?

Tak. Było nas sześcioro. Najmłodsza siostra miała wtedy siedem lat. Ja jestem najstarsza.

Czy to miało jakieś znaczenie?

Ogromne. Od początku była mi narzucona odpowiedzialność. Tak, jak niedojrzali rodzice przerzucają na swoje dzieci odpowiedzialność

za siebie i własne uczucia, tak samo mi zostało narzucone, że jestem tą, która – jako ta najstarsza – pełni rolę rodzica. Tak zrobili w domu rodzinnym, a potem również opiekunowie w domu dziecka.

Z jakiego powodu zostaliście zabrani z domu rodzinnego?

Mieliśmy niewydolnych i bardzo niedojrzałych rodziców. Duże znaczenie miał również alkohol, którego nadużywali. Dziś widzę, jak byli lekkomyślni, dopuszczając do tego, żeby mieć tak dużo dzieci mimo wielkich problemów ze sobą. Stworzyli nam dom, w którym dominował alkohol i przemoc fizyczna.

To była przemoc między rodzicami czy w stosunku do was?

Na pewno stosowali przemoc fizyczną między sobą. W stosunku do nas również, ale to były zachowania raczej dopuszczalne w tamtych czasach w Polsce. Dla mnie – z perspektywy osoby dorosłej, która dzisiaj o tym mówi – jest to nieakceptowalne, ale wtedy to było coś zupełnie normalnego, było na to społeczne przyzwolenie. Przemoc nie była więc przyczyną tego, że zabrano nas od rodziców. Głównie chodziło o nieodpowiedzialność i nadużywanie alkoholu, co sprawiło, że byliśmy bardzo zaniedbani.

Pamiętasz pierwszy dzień w domu dziecka?

Pamiętam go bardzo dobrze. W naszym przypadku nie było dramatycznych scen, zabierania nas siłą z domu, wydzierania z rąk matki czy ojca. Poszłam dobrowolnie, bo tak mi kazano. Wróciłam ze szkoły i moja rodzicielka, Zośka, powiedziała: „Słuchaj, troje z was jest już w pogotowiu opiekuńczym, wy musicie iść tam jutro”. „Ale jak to?” – zapytałam. „No tak” – odpowiedziała.

Kto cię pokocha, jeśli nie kocha cię własna matka?

I tyle. Spakowałam się i kolejnego dnia poszliśmy, moje młodsze rodzeństwo już tam było. W pogotowiu mieszkaliśmy około dwóch tygodni i potem pojechaliśmy do domu dziecka – jednego z najlepszych miejsc na świecie. Mówię to z pełną świadomością, tam było pięknie. Największe wrażenie zrobiły na mnie drzewa dookoła. Wspaniale było mieć swój pokój, w którym mieszkaliśmy razem w sześcioro. Ludzie wydawali się bardzo mili, szczególnie wychowawca, który nas wtedy przywitał i który potem stał się dla mnie bardzo ważny. Najbardziej w pamięci utkwiło mi to, że było tam dużo przestrzeni, otaczała mnie zieleń i rosły piękne drzewa. I było ciepło, bo to był koniec sierpnia. Nie mam żadnych negatywnych wspomnień związanych z tym dniem i rozdzieleniem nas z rodzicami, było po prostu fajnie i zielono.

Nie miałaś poczucia, że dzieje ci się krzywda?

Nie miałam poczucia krzywdy, absolutnie. Ja i moje rodzeństwo doznaliśmy uczucia oddzielenia od rodziców o wiele wcześniej. Zośka o nas w ogóle nie dbała i nie była znaczącą osobą w moim życiu. W momencie pójścia do domu dziecka nie czułam negatywnych uczuć. Może nie mogę się do nich w sobie dokopać, ale wątpię, żeby we mnie były. Tam było dobrze, pięknie i spokojnie.

Dlaczego mówisz o swojej mamie rodzicielka albo Zośka?

Nie nazywam jej mamą. Nie używam tego słowa, bo nie mam żadnych ciepłych uczuć, które za nim idą. Zośka jest pijaczką, była agresywna i doskonale pamiętam, jak od niej obrywałam. Odcięłam się od znaczenia słowa „matka” i od całej otoczki z nim związanej.

Tak samo jest ze słowem „tata”?

Ojciec to sadysta, który używał bardzo dużo siły fizycznej, żeby maltretować Zośkę. Nie mam negatywnych uczuć i głębokich negatywnych emocji. Dwa lata temu spotkałam się z jego siostrą, bo chciałam zrozumieć, co zadziało się w życiu moich rodziców, jakie decyzje doprowadziły do stanu, w którym się znaleźli. Oni zostawili swoje dzieci – to trudno pojąć. Chciałam dowiedzieć się, w którym momencie coś potoczyło się nie tak, kiedy ich życie obrało zły kierunek. I myślę, że już na początku. Moja matka miała wszystko. Była dzieckiem czterdziestoletniej kobiety i pięćdziesięcioletniego faceta. Mój ojciec również miał wiele. Byli bardzo rozpieszczeni i zupełnie niedojrzali. Rozmawiałam z jego siostrą, kopałam w tej przeszłości i okazało się, że on zupełnie nie kontrolował emocji, był zupełnie odrealnionym facetem. Uważał, że wszyscy dla niego wszystko zrobią, a on będzie sobie po prostu żył.

Utrzymujesz kontakty z rodzicami?

Nie.

Będąc w domu dziecka, tęskniłaś za nimi i za domem rodzinnym?

Nie. Wiesz dlaczego? Bo my od początku nie znaliśmy figury matki i ojca. Nic dobrego od nich nie dostałam. Stworzyli nam okropny, traumatyczny dom. To było życie w strachu, że Zośka będzie pijana, że wybierze towarzystwo i zniknie na tydzień, a my będziemy sami w domu. Ta niewiadoma, którą ona niosła ze sobą, była straszna. Nie wiesz, czy coś zjesz, czy ktoś przyjdzie do domu, czy ona wróci, czy nie. Nie wiesz, czy libacja będzie w domu, czy ona jest gdzieś na libacji. A ty siedzisz w obskurnym miejscu, w którym jest brudno, ciemno i nie ma co jeść.

Jednak miałaś świadomość tego, jak wyglądają szczęśliwe rodziny.

Nie miałaś poczucia osamotnienia i żalu, że tobie nie jest to dane?

Myślę, że przez lata byłam od tego odseparowana. Tak to sobie wytłumaczyłam. Brak matki był dla mnie – dziecka, potem dziewczyny i kobiety, tak traumatycznym doświadczeniem, że w pewnym momencie odcięłam się od tego. Przez długie lata nie miałam żadnych problemów z tym, o czym mówisz. Nie czułam, że dużo straciłam. Na szczęście miałam babcię, dziadka i ciocię. Wiadomo, że w domu dziecka nie było idealnie, tam nie może być różowo. Jak cię kolega bije, to łkasz do poduszki i nikt cię nie przytula. Spotyka cię jakaś przykrość, to płaczesz w samotności i nie ma kogoś, kto by ci wytłumaczył, co się wydarzyło. Nie ma kogoś, kto procesuje z tobą emocje. Nie ma takich osób, po prostu nie ma nikogo bliskiego. Czasem zdarzają się dobrzy wychowawcy i tyle. Na pewnym etapie przyjęłam, że sobie ten szczęśliwy dom stworzę sama. Jak będę dorosła, to będę mieć kochającego mężczyznę, z którym stworzę rodzinę. Trudno jest o tym mówić, bo mam naprawdę fajne wspomnienia, dużo pięknych rzeczy wydarzyło się w domu dziecka. Jak patrzyłam w okno, to widziałam piękne drzewa i marzyłam o podróżach. Nie miałam potrzeby, żeby mama przyszła i mnie przytuliła. Może dlatego, że miałam agresywną matkę.

Nosisz w sobie pretensje do niej?

Nie mam pretensji, nie mam żalu. Miałam je, gdy byłam nastolatką. Krzyczałam wtedy: „Dlaczego się nami nie zajmujesz, dlaczego nas nie kochasz?”. A potem popatrzyłam na tę kobietę, na jej życie i na sytuacje, które się jej przydarzyły. Wybrała tak, a nie inaczej. Dlaczego mam się denerwować z tego powodu? Nie mam z nią związku

emocjonalnego i może dlatego jest mi łatwiej. Bardziej mnie interesują relacje w mojej rodzinie, w sensie mojego rodzeństwa, niż relacje z nią. Może to jest zamrożenie, może odcięcie się od tego, co było. Nie mogę być na nią zła, bo jest mi jej po prostu szkoda. Szkoda mi, że jej życie tak się potoczyło.

Miałaś poczucie wstydu, będąc dzieckiem z domu dziecka?

To nie pojawiło się od razu, tylko trochę później i jedynie w sytuacjach, kiedy wychodziłam na zewnątrz, gdy szłam do szkoły, do innych ludzi. Strasznie się wstydziłam tego, gdzie mieszkam, ponieważ bałam się być oceniana. Gdy wracałam ze szkoły, to wracałam do bezpiecznego, fajnego miejsca. Nie miałam więc pretensji i negatywnych emocji w stosunku do niego. Tam było moje życie, rodzeństwo, przyjaźnie. Chyba dopiero w dorosłym życiu zrozumiałam, jakie konsekwencje miało to, że nie miałam domu, nie było przy mnie matki ani ojca, nie było normalności. Wówczas jednak to było coś fajnego.

Jakie to są konsekwencje?

Świadomość tego, co tak naprawdę działo się w moim życiu i tego, że nie miałam normalnego domu, jest tak złożona i głęboka, że chyba nie uda mi się o tym powiedzieć w kilku słowach. Wyobraź sobie, że nie masz domu i nie masz rodziców, do których możesz się zawsze zwrócić, zadzwonić czy wrócić, jakby ci się powinęła noga i stało się coś złego. Sprawy emocjonalne zostały obcięte u samych podstaw. Wyobraź sobie, że nie masz żadnej relacji z matką. Bardzo trudno jest potem nawiązać jakąkolwiek inną relację: romantyczną, przyjacielską. Ciągnie się za tobą cały czas widmo, że jesteś dzieckiem z domu dziecka.

Kto cię pokocha, jeśli nie kocha cię własna matka?

Ciągle masz poczucie, że jesteś gorsza, bo jesteś po prostu z takiego miejsca. Nikt cię nie kocha, nikt cię nie chce. Nie kocha cię matka, bo oddała cię do domu dziecka. Kto cię pokocha, jeśli nie kocha cię własna matka? Jeżeli nie akceptuje cię własna matka, to jak zaakceptuje cię koleżanka w szkole czy w pracy? Jak cię zaakceptuje mężczyzna albo kobieta w związku? Ciągle żyjesz z myślą, że musisz się zmienić, musisz być inna, bo to, jaka byłaś, okazało się niewystarczające. Nie ma przy tobie osoby, która powinna cię kochać bezwarunkowo, dbać o ciebie i być z tobą w sytuacjach, w których jej potrzebujesz. Nie ma jej. Myślę, że to jest poczucie, z którym dzieci, a potem dorośli, wędrują przez całe życie. I to jest taki kamień, który ciągnie w dół. Wstyd ma bardzo duże znaczenie. Wstyd i poczucie bycia gorszą są najtrudniejsze. Ciągną w dół, jeśli się nad tym nie pracuje.

Udało ci się to przepracować czy nadal borykasz się z tymi uczuciami?

Już nie czuję się gorsza. Jeśli ma się poczucie, że jest się człowiekiem drugiej kategorii, którego nikt nie kocha, bo nie ma miłości matki, to potem wchodzi się w relacje, które pokazują dokładnie to samo. I ja byłam w takich relacjach. Na moje nieszczęście były to romantyczne relacje. Osoby, z którymi się wiązałam, mówiły mi, że nie jestem taka, jak im się wydawało, próbowałam więc ciągle zasłużyć na czyjeś uczucia. I ciągle uważałam, że nie zasługuję, dopóki nad tym nie popracowałam i nie zadbałam o siebie. Dzisiaj lubię siebie, kocham siebie. Uporałam się z tym. To było ciężkie i trwało do mojej głębokiej dorosłości. Mam trzydzieści osiem lat i dopiero od niedawna nie czuję się gorsza. Mam też inne spojrzenie na świat i na ludzi. Patrzą na to, co dookoła i czasem trudno jest mi czuć się gorszą od tego, co widzę.

Chodziłaś albo chodzisz na terapię?

Tak, od jakiegoś czasu korzystam z pomocy psychoterapeutów. Na terapii pracowałam między innymi z moim wewnętrznym dzieckiem. Polega to na tym, że dorosła osoba idzie do małej siebie w różnych sytuacjach z przeszłości. Idzie do tego dziecka i próbuje z nim rozmawiać. Bardzo długo nie mogłam do siebie podejść. Ja dorosła nie mogłam podejść do tej małej dziewczynki, którą byłam. Minęło kilka tygodni intensywnej pracy i nadal nie mogłam siebie dotknąć. Popatrz, jak głęboko zranione dziecko tam siedzi i nikt dorosły nie może do niego podejść. W końcu mi się to udało i teraz mamy fajną relację. Takie dzieciństwo, jak moje, zostawia głębokie rany. Patrzysz na dorosłe osoby, które wyszły z domu dziecka – może mają pracę, może mają rodzinę, a może sobie w ogóle nie poradziły. Nie wchodzę z obcymi na tak głębokie poziomy, żeby zobaczyć, czy sobie poradzili, czy nie, ale wiem, że w nich są poranione dzieci – opuszczone, bite, maltretowane, wykopywane z domu.

Wspomniałaś, że bałaś się wychodzenia z domu dziecka. Jak duża była stygmatyzacja dzieci takich jak ty?

Dzieci potrafią być okrutne. Moje rodzeństwo bito w szkole tylko dlatego, że było z domu dziecka i nikt nie był w stanie ich obronić. Przecież rodzice nie przyszli do szkoły, by się za nimi wstawić. W pewnym momencie codziennie wracali pobici. W końcu dyrektor domu dziecka zadzwonił do szkoły, ale dyrektorka nie zareagowała, nauczyciele też nie, nikt nie zareagował. Zadziałało prawo pięści. Nie jestem z tego dumna, a może jednak trochę jestem. Poszliśmy z siostrą i po prostu spraliśmy te dzieci. Skończyło się. No i chyba tam tak właśnie jest – to jest szkoła przetrwania.

Czułaś się wykluczona?

Nie było mnie na nic stać, a wiesz, jakie są dzieci. Świat zewnętrzny jest tak skonstruowany, że musisz mieć, a nie być. Jak nie masz, a dodatkowo jesteś z domu dziecka, to nie jest lekko. Nikogo nie mogliśmy o nic poprosić. To jest ważne dla dzieci czy dla młodych, dorastających ludzi, żeby mieć to, co inni. Trudno jest sobie wytłumaczyć, że wszyscy w klasie mają magnetofon i płyty, a ty nie masz ani jednego, ani drugiego. Nie jesteś wtedy w środowisku. W czwartej klasie liceum mało kto mówił do mnie „cześć”. Byłam sama, nikt ze mną nie gadał, stawałam się odludkiem. Dobrze, że nie byli agresywni.

Życie poza domem dziecka było szkołą przetrwania. A pobyt wewnątrz?

Też. W domach dziecka często dzieją się tragedie wychowanków. Byłam w spokojnym miejscu, gdzie panowała w miarę fajna atmosfera. Oczywiście były konflikty i bójki między nami, ale nie było fali, ani przemocy ze strony opiekunów. Słyszałam jednak wiele opowieści dzieci z innych domów. Na przykład wydzielano im jedzenie. Piętnastoletni chłopcy dostawali dwie kromki chleba. Wyobraź sobie, co tam się działo. U nas tak nie było, przynajmniej wtedy, kiedy ja tam mieszkałam. Ale pamiętam wychowawcę, który zabierał dzieciom podwieczorki. Ten posiłek był jedyną szansą w ciągu dnia, żeby dzieci dostały coś słodkiego. I to nie było to, co dzisiaj widzisz w sklepach, to był na przykład mały kawałek czekolady. A on zabierał te kawałki i jadł przy dzieciach. Dyrektor i wychowawcy nadużywali władzy i my to widzieliśmy. Na przykład dostawaliśmy paczki ze słodyczami, ale nic z nich do nas nie trafiało. Te rzeczy nam zabierano, mówiąc, że i tak mamy za dużo.

Było ci łatwiej, bo byłaś z rodzeństwem?

Oczywiście. Kiedy jednemu z nas działo się coś złego, to szliśmy całą grupą. Było nas dużo, więc bardzo szybko rządziliśmy w domu dziecka. Jak wspomniałam, miałam narzuconą rolę rodzica. Byłam dosyć agresywna, bo agresję znałam z domu rodzinnego. W momencie kiedy umiałam zdyscyplinować moje rodzeństwo, to łatwo mi też poszło z innymi dziećmi. W pewnym momencie wychowawcy, którzy nie potrafili poradzić sobie z jakimś dzieckiem, przychodzili po pomoc do mnie. Potem rodzeństwo przejęło po mnie to „stanowisko” i też dyscyplinowało inne dzieci. Nie biłam nikogo, nie używałam przemocy fizycznej, ale używałam agresji werbalnej.

Rodzeństwo ma do ciebie o to żal?

Tak, moja jedna siostra ma. Wciąż mam z nią konflikt, mimo że rozmawialiśmy o tym niejednokrotnie. Wiem, co się wydarzyło i pracowałam nad tym. Ciężko było mi się przyznać do tego, jak postępowałam. Dopiero na terapii mogłam to zrobić. Ona wciąż nie przerobiła tego tematu. Wiem, skąd się wzięło moje zachowanie. Dorośli mówili mi: „Idź, zrób z tym porządek, to jest twoja odpowiedzialność”. Stosujesz to, co znasz, a ja znałam agresję. Żaden z wychowawców nie powiedział: „Hej, zatrzymaj się, nie jesteś od tego, żeby to robić. Idź się pobawić. To nie jest twoja rola, żeby dyscyplinować inne dzieci”.

To może ty masz żal do nich?

Jesteśmy tylko ludźmi i każdy ma swoje ograniczenia, każdy ma jakieś traumy. Niektórzy wychowawcy w ogóle nie nadawali się do tej roli. Nie potrafili spojrzeć szerzej, nie patrzyli na to, że jestem

dzieckiem, które potrzebuje pomocy. Widzieli tylko swoją wygodę. Odgrywałam rolę rodzica, rolę wychowawcy, bo tak było im wygodnie. Nie mam żalu. W domu dziecka nie ma łatwych dzieci. Tam są dzieci, które wykorzystywano emocjonalnie i fizycznie, pochodzące ze środowisk, gdzie panowała przemoc, które zostały totalnie odrzucone przez rodziców albo przez bliskich. A kto pracuje w domach dziecka? Osoby przygotowane do pracy z tak zranionymi, tak ciężko emocjonalnie potarganymi dziećmi? Absolutnie nie. Większość z nich to ludzie, którzy nie przychodzili tam z jakąś głębszą misją. Oni przychodzili na osiem godzin do pracy, często po to, żeby posiedzieć. Byłam osobą, która za nich mogła zagonić innych do odrobienia lekcji, posprzątania i tak dalej. Znam zaledwie kilku wychowawców, z którymi mogłam usiąść i porozmawiać. Pomimo tego, że z perspektywy czasu widzę, że ci ludzie w większości nie nadawali się do swojej pracy, to jednak lepiej lub gorzej wypełniali swoje obowiązki. Niektóre osoby na pewno dały mi dobre przykłady moralne. Najlepszą, najpiękniejszą książkę, jaką czytałam, podsunął mi wychowawca. Powiedział do mnie: „Masz, będziesz to lubić” i rzucił mi *Mistrza i Małgorzatę*. To oznacza, że ten człowiek mnie widział. Miałam chyba szesnaście lat. On dostrzegł mnie i zaproponował coś, co uwielbiam do dziś. To było dla mnie bardzo ważne.

Co było dla ciebie najważniejsze w domu dziecka?

Poczucie bezpieczeństwa. Mimo wszystko jestem zadowolona, że tam byłam. Nie wiadomo, co by się stało w domu. Nie wiadomo, kogo moja matka by tam sprowadziła, czy nie zostałabym w pewnym momencie przez kogoś wykorzystana. Nie wiadomo,

czy życie nie potoczyłoby się tak, że poszłabym w alkohol albo w narkotyki. Cholera wie. Dom dziecka dał mi duże poczucie bezpieczeństwa.

Co oprócz poczucia bezpieczeństwa dało ci to miejsce?

W połączeniu z tym, co dali mi dziadkowie i ciocia, to chyba wszystko. Będąc tam, szłam do szkoły, a gdy wracałam, było ciepło i było jedzenie. Ktoś mówił: „Jesteś mądra, weź się poucz”. Jak czegoś nie wiedziałam, to dostawałam pomoc. Jak nie dzisiaj, to jutro czy pojutrze znajdowała się osoba, która mi to wytłumaczyła. Trafiali się fajni wychowawcy, którzy może nie zadbali o emocje tak, jak rodzice powinni zadbać, ale pokazali nam inną drogę. Dzięki rozmowom z nimi mieliśmy szansę uwierzyć, że możemy więcej, niż być tylko dzieckiem z domu dziecka i nie musimy skończyć tam, skąd nas zabrano. Tę perspektywę pokazała mi nie tylko ciocia i dziadkowie, ale również kilka osób z domu dziecka. Najbardziej cieszy mnie to, że mogłam żyć w przepięknych okolicznościach przyrody, w miejscu z potężną historią w tle, z duszą. To miejsce miało w sobie magię i ogromną energię. Wpłynęło na moją wyobraźnię i bardzo ją rozbudowało.

Myszę, że dom dziecka, dziadkowie i ciocia dali mi szkielet, żebym mogła iść wyprostowana z kręgosłupem moralnym i umiejętnością podejmowania dobrych decyzji. Do dziś pamiętam słowa dziadka, który dawał mi wskazówki na życie. Zachęcał mnie do nauki, wychodzenia z domu i poznawania ludzi. Namawiał na studia, które miały być szansą na dobrą pracę, podróże i poznawanie świata. Nie wszystkie dzieciaki miały takie szczęście. Jeśli ktoś nie miał takiego wsparcia i wszystko, co miał, niknęło w alkoholu, narkotykach albo

Kto cię pokocha, jeśli nie kocha cię własna matka?

w więzieniu, to trudno mu było pomóc, nawet jeśli znalazł się w takim miejscu, jak mój dom dziecka. Znam takie dzieci, źle potoczyły się ich losy.

**Pytałam cię o pierwszy dzień w domu dziecka. A jaki był ostatni?
Jakie emocje mu towarzyszyły?**

Strach, totalny strach. Usłyszałam: „Kończysz tę szkołę i masz się wyprowadzić. Dom dziecka to instytucja państwowa, a państwo nie może cię dalej utrzymywać. Już nie ma twojego nazwiska na liście”. Musiałam spakować swoje rzeczy i iść. Ale gdzie ja miałam iść? Przecież nie miałam domu ani rodziców. Musiałam opuścić miejsce, w którym czułam się bardzo bezpiecznie, które było moim domem przez ostatnie kilka lat. Tak naprawdę może jedynym prawdziwym domem. Moje rodzeństwo, czyli cała moja najbliższa rodzina, tam zostawało. Nadal mieli tam jedzenie i nocleg, a ja już nie. To były bardzo ciężkie chwile. Wychodzisz i gdzie masz iść?

I gdzie poszłaś?

Miałam to szczęście, że jeszcze wtedy miałam ciocię i dziadków. Mieszkałam z moim chłopakiem przez tydzień czy dwa u mojej babci w kawalerce, a potem poszliśmy do szkoły z internatem. Ciocia pożyczyła nam pieniądze, które mieliśmy na opłacenie bursy i w jakiś sposób daliśmy sobie radę. Ale są dzieci wyrwane z domów patologicznych, gdzie matka i ojciec to alkoholicy czy narkomani albo osoby agresywne wobec tych dzieci. One były zabrane z tych domów, bo były maltretowane, gwałcone. Potem, gdy skończyły szkołę średnią, zamknięto im drzwi przed nosem i nie miały gdzie pójść. Jak sobie radzić, gdy masz dziewiętnaście lat i jesteś sama?

Jak sobie radziłaś?

Nie miałam fizycznego domu, nie miałam osób, które tak naprawdę dziewiętnastoletniej dziewczynie są wciąż potrzebne. Skończyłam studium medyczne. Najpierw byłam na stażu, a potem już podpisałam umowę o pracę. Fajnie się wszystko ułożyło, bo miałam stałe zatrudnienie i mogłam wynająć mieszkanie. Na studiach otrzymywałam stypendium naukowe i stypendium socjalne, co bardzo mi pomogło.

W tych czasach opuściło cię już poczucie wstydu i bycia gorszą?

Było inaczej, bo nikt nie znał mojej przeszłości. Otaczający mnie ludzie nie mieli tego filtru i nie oceniali mnie przez pryzmat dziecka z domu dziecka.

Poczułaś się wtedy lepiej?

Zdecydowanie lepiej w takim sensie, że czułam się swobodniej, mogłam coś powiedzieć, mogłam być sobą i nie byłam oceniana w kontekście mojego dzieciństwa.

Masz poczucie, że żeby dobrze czuć się między ludźmi, to musisz ten kawałek swojej historii ukrywać?

Mogę się czuć dobrze w towarzystwie innych ludzi, nie mówiąc im o tym. Ale nie jest to wtedy tak głęboka i tak otwarta relacja jak z ludźmi, którzy wiedzą, z którymi mogę rozmawiać o domu dziecka. Jesteś drugą osobą spoza mojej rodziny, której mówię o tych rzeczach. To jest część mojego charakteru, mojej osobowości, część mnie – nie otwieram się przed wszystkimi, bo nie uważam, że warto. Nie czuję, że bym chciała się otworzyć przed większością

spotykanych ludzi. Jeśli oni zostają na chwilę w moim życiu, to po co mówić im o wszystkim. Jeśli wiem, że ktoś zostanie na dłużej i jest to dla mnie osoba na tyle ważna, że mogę ją wpuścić do tego miejsca, to wpuszczę i możemy o tym rozmawiać. Ale koleżanka z pracy? No nie. Nie jestem otwarta na mówienie do ludzi, którzy nie są w moim najbliższym kręgu, o tym, że wychowywałam się w domu dziecka. Zastanawiam się, czy wciąż się boję, że w pewnym momencie będę oceniana przez ten filtr. Chyba tak. Ostatnio w pracy dwie osoby zapytały mnie, dlaczego nigdy nie mówię o rodzicach. Odpowiedziałam, że nie mam rodziców i nie chcę o tym rozmawiać. Widziałam, że odebrały to tak, że moi rodzice umarli. Nie zaprzeczyłam, bo myślę, że nie mijam się z prawdą. Moich biologicznych rodziców tak naprawdę nigdy nie miałam. Nie byli ze mną na tyle długo i intensywnie, żebym wykształciła sobie figurę rodzica, nie miałam z nimi żadnej relacji. Natomiast te osoby, które ze mną były i wykształciły figurę matki i ojca, czyli babcia i dziadek, nie żyją.

Utrzymujesz kontakty z ludźmi z domu dziecka?

Nie mam bliskich przyjaciół z tych czasów. Czasem mogę z niektórymi pogadać. Nie utrzymuję kontaktów, ale nie dlatego, że nie chcę. Fajnie byłoby się spotkać raz na jakiś czas, żeby porozmawiać, zobaczyć, co zaszło się w ich życiu, w jakim są miejscu. W przeszłości byliśmy ze sobą bardzo blisko. Z pewnymi ludźmi nawiązałam bardzo głębokie relacje, byliśmy razem i pomagaliśmy sobie również po wyjściu z domu dziecka.

Pewien chłopiec z domu dziecka na pytanie o to, co chciałoby powiedzieć ludziom spoza placówki – swoim rówieśnikom i dorosłym – odpowiedział: „My jesteśmy tacy sami”. Co ty byś odpowiedziała na to pytanie?

Jakbym miała się cofnąć do tamtego okresu, to pewnie odpowiedziałabym to samo. Wiesz, są takie eksperymenty społeczne z udziałem małych dzieci. Idzie dziewczynka ubrana w ładną sukienkę, ma czyste ładne włosy, kolorowe wstążeczki i tak dalej. Mówi przechodniom, że jest głodna i dostaje jedzenie. Idzie biedne, brudne dziecko i ma taką samą prośbę, ale jest przepędzane. Niby jesteśmy tacy sami, ale postrzegani różnie. Dodałabym również, że ja potrzebuję miłości tak, jak inni, że moje serce też potrzebuje ciepła i miłości. Ale z perspektywy dorosłej osoby nie wiem, co bym powiedziała. Świat jest pełen głupich i pustych dorosłych. Jeśli ktoś sam nie wie, że dzieci to najbardziej niewinne istoty na świecie i nie widzi, że w domach dziecka są takie same dzieci, jak te poza nimi, to co ja mogę mu powiedzieć?

Dlaczego dzieci z domów dziecka są stygmatyzowane?

Bo to są na ogół trudne dzieci, które gryzą dosłownie i w przenośni, które widziały w domach patologię. One są wyrzucane z domu, niechciane, niekochane i to nie są dzieci, które są grzeczne i poukładane. Z niewieloma ludźmi rozmawiałam na ten temat. Nie wiem, dlaczego tak jest. Może chodzi o korzyści, może tak mamy ukształtowane społeczeństwo. Ludzie uważają, że jeśli jesteśmy z domu dziecka, to jesteśmy z patologii, widzieliśmy tę patologię, czyli mamy większe predyspozycje do kłamstwa, robienia zła, kradzieży i rozbojów.

Widzisz jakieś szanse na to, żeby ta stygmatyzacja była mniejsza?

Nie wiem, czy można to zmienić. Widzi się w nas tych gorszych, jesteśmy stygmatyzowani przez rówieśników i dorosłych, w szkole, jak i w samym domu dziecka. Chciałabym, żeby było inaczej, ale nie jestem na etapie negatywnych emocji, pretensji czy żalu. Jestem w takim momencie życia, że widzę dużo ograniczeń w ludziach, którzy emocjonalnie nie są w stanie zrozumieć pewnych rzeczy. I dlatego nie mam pretensji. To przyszło z wiekiem, bo jak byłam nastolatką, miałam dużo agresji z tym związanej. Teraz widzę, że każdy ma jedno życie do przeżycia i to, jakie podejmuje decyzje, buduje to życie. Dobrze jest zaopiekować się swoim dzieckiem. W tym sensie, że warto nie spieprzyć komuś życia, przynajmniej na początku, bo to dużo daje, bo start i odbicie, które rodzice dają dziecku, jest niezwykle ważne.

Można żyć dobrze pomimo słabego odbicia?

Jasne, że można. Nie czuję się ofiarą sytuacji, w jakiej znalazłam się przez zachowania i decyzje, które podjęli moi rodzice. W domu dziecka działały się magiczne rzeczy. Oczywiście, że lepiej byłoby mieć odpowiedzialnych rodziców, którzy się tobą interesują, kochają cię i nie zostawiają. Ale mnie opuścili i na szczęście trafiłam do fajnego miejsca. Jestem szczęśliwa i moje rodzeństwo też, że tam byliśmy. Z perspektywy czasu widzę rzeczy, które mogły się wydarzyć, gdybyśmy zostali w domu rodziców. Tak się złożyło, że miałam taki dom rodzinny, a nie inny – lepszy. Nie mam pretensji, bo wiem, że życie nie jest sprawiedliwe. Komunizm tu nie działa, w naturze nie ma komunizmu, każdy nie dostaje tak samo. Natura taka jest. Drzewo na żyznym terenie urośnie szybko i okazale, na skale niekoniecznie. Tak samo jest z ludźmi.

TO NIE NASZA WINA

Z perspektywy emocjonalnej wszystko widzi się inaczej. Przez filtr emocji ma się poczucie krzywdy. Ale jak człowiek pomyśli, to zrozumie, że musi sobie poradzić sam albo z pomocą, że musi brać odpowiedzialność za swoje życie, więc również za swoje emocje, które są spowodowane błędami innych. Jestem dorosła i musiałam wziąć się w garść. Może pomogło mi duże poczucie odpowiedzialności, które noszę sama w sobie, plus to, które we mnie zbudowano oczekiwaniami. Ponadto miałam osoby wiele znaczące w moim życiu, które bardzo szanowałam i szanuję. To, co one powiedziały, było ważne i nie było we mnie sprzeciwu. Jestem silna i mam twarde tyłek. Wiem jednak, że są ludzie, którzy sobie nie radzą z tymi emocjami i z tym, że tak, a nie inaczej zadziało się w ich życiu. To są wciąż dzieci z domu dziecka.

PODZIĘKOWANIA

Wielokrotnie słuchałam nagrań ze spotkań z moimi rozmówcami. Wciąż mam przed oczami ich twarze, czasem łamiące się głosy, drżące dłonie i łzy. Ich historie zostaną ze mną na zawsze i wierzę, że warto się nimi podzielić. U kresu podróży, jaką było napisanie i oddanie w Wasze ręce tej książki, odczuwam głównie wdzięczność.

Dziękuję moim rozmówcom, że zechcieli otworzyć przede mną drzwi do części swojego życia. Jestem Wam niezwykle wdzięczna za zaufanie, którym mnie obdarzyliście oraz otwartość i gotowość do mówienia o sprawach bardzo trudnych i bolesnych. Mam świadomość, że rozmowa ze mną i zmierzenie się ze swoją przeszłością dla wielu z Was były dużym wyzwaniem. Wierzę, że Wasze historie, szczerość oraz prawda wypowiedzi mają znaczenie.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi dotrzeć do dorosłych wychowanków domów dziecka. Ta książka nie powstałaby bez Was. Dziękuję, że tak, jak ja uwierzyliście w ten pomysł i uznaliście za ważne oddanie głosu osobom, które swoje dzieciństwo spędziły w placówkach opiekuńczo-wychowawczych. Jestem wdzięczna za Wasze dobre chęci i zaangażowanie.

Dziękuję tym, którzy odmówili mi spotkania i rozmowy o swoim życiu. Wasza argumentacja pokazała mi dobitnie, jakie traumy nosicie

TO NIE NASZA WINA

w sobie i z jakimi problemami zmagacie się pomimo upływu wielu lat. Doświadczenia z pobytu w placówce to historia, która nie kończy się w chwili jej opuszczenia. Rozumiem i szanuję każdą odmowę, z którą się spotkałam.

Dziękuję dr Joannie Heidtman, że przyjęła moje zaproszenie do napisania wstępu. Asiu, Twoje słowa są niezwykle cenne. To dla mnie zaszczyt, że doceniłaś zebrane przeze mnie historie oraz odkryłaś przede mną ich uniwersalizm.

Dziękuję wszystkim, którzy wspierali mnie na każdym etapie pracy, czyli w czasie szukania i gromadzenia materiałów, w trakcie pisania książki oraz podejmowania decyzji związanych z jej wydaniem. Kochani, wiecie, że to podziękowania dla Was. Wasze słowa wiary w sens tego, co robię były bezcenne. Wasze słowa otuchy w chwilach zwątpienia przywracały mi nadzieję. Wasze opinie miały znaczenie. Dziękuję, że jesteście na mojej drodze.

Dziękuję wydawnictwu BookEdit za wsłuchanie się w moje propozycje i pytania. Wasz profesjonalizm i serdeczność sprawiły, że mój debiut wydawniczy stał się wyjątkowym doświadczeniem.

I wreszcie, dziękuję wszystkim, którzy sięgają po tę książkę. Dzięki Wam moi rozmówcy i ja wiemy, że warto było zaangażować się w jej powstanie. Mam nadzieję, że opowiedziane w niej historie okażą się dla Was istotne.